

FUNDACJA GENERALI ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pancernie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polek  
87-100 Toruń, ul. Podmurza 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fopak@wp.pl www.zawacka.pl  
NIP 956 18 23 127; REGON 870502736  
KRS 00000 41692  
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

A. Roj.



per.

**GAWIN Danuta**

**I v. Konarska (1946)**

**II v. Winiarska (1953)**

**ps. "Stoń-inka"**

**SZSZ**  
**U-ka**  
**Posłanie W**

**4977/USK**  
**1**

SPIS ZAWARTOŚCI. TECZKI —

4177/USK

GAWIN Danuta

I ul. Kołaraska (1946)

v. Winiarska (1953)

ps. „Słoń - inka”

I/1. Relacja ✓ 2, 16, 25.

I/2. Dokumenty (sensu stricte) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie — *brak*

I/1. Relacja:

- Relacja Danuty Winiarskiej z ol. Gawin ps. "Słoń - inka" msp. usro, podpis oryginalny, z du. 28.V.2012 (data na piśmie przewodnicu, zob. IV). K.2, s. 1-2.



### Zyciorys

Danuta Winiarska - córka Marceliego i Janiny (z d. Koszelik) Gawin  
-ur.11 marca 1926r. w Warszawie.

Ojciec - po ukończeniu Szkoły Handlowej i Instytutu Wiedzy Handlowej przy Zrzeszeniu Kupców Polskich został współwłaścicielem f-my "Pomoc Szkolna" (W-wa Krak.Przedmieście 38) produkującej i zaopatrującej w pomoce naukowe i materiały laboratoryjne szkoły i wyższe uczelnie.

W 1933r. rozpoczęłam naukę w prywatnej szkole im. Zofii Wołowskiej w Warszawie przy ul.Piusa XI nr.28 (obecnie ul.Piękna).

Ukończyłam kolejną szkołę powszechną, gimnazjum ( w czasie okupacji pod nazwą Szkoły Zawod. Keronkarsko-Mafciarskiej) i liceum na tajnych kompletach w 1944r (matura)

W 1943r zostałam wprowadzona do Szarych Szeregów przez brata Jerzego Gawina (ur.20.IX.1922r) ps. Słoń-miecz phm.per.III Plut."Felek", II Komp. "Rudy". Przyjęłam (zapożyczony od brata) pseudonim "Słoń-inka".

Po ukończeniu kursu sanitarnego, prowadzonego przez "Oleńkę" - Aleksandrę Grzeszczak, zostałam przydzielona jako sanitariuszka do plut."Samochodowego" - dow. "Hrabia" Włodzimierz Reefler, potem do plut."Skalskiego" -dow.Tadeusz Sziffers . w I Komp."Maciek". Jednocześnie pełniłam funkcję łączniczki w Sekcji Donosicielek Broni w III plut.II Kompanii.

Prowadziłam w plutonach kursy I-szej pomocy oraz opiekowałam się rannymi z akcji zbrojnych.

W kwietniu 1944r uczestniczyłam jako sanitariuszka w akcji "Sonderwager" przy Pl.Starynkiewicza.

W Powstaniu W-wskim brałam udział jako sanitariuszka na punkcie sanit. dr.Brema (1-5 VIII) przy Mirowskiego , (6-7 VIII przy Okopowej w Szkole.

Dn. 8.VIII zostałam ranna (odłamkami z granatnika), na stanowisku powstańczym IV plut.I komp. na Um.Zydowskim przy ul,Okopowej.Po opatrunku zostałam przewieziona z rannymi do Szpitala Jana Bożego. Po operacji i kilkudniowym pobycie - z uwagi na silny atak Niemców na szpital -zostałam przeniesiona do szpitala powstańczego dr.Brema przy ul. Mławskiej , a następnie przy ul. Koźlej.

Dn.31.VIII. przetransportowano mnie z rannymi kazałem do Śródmieścia

Przebywałam w szpitalu w P.K.O.-Marszałkowska rog Świętokrzyskiej, potem na Wilczej 7 u Sióstr, a następnie aż do kapitulacji ,jako nadal niezdolna do służby ,w domu przy ul.Wilczej 24.

Dn.3.października zostałam wraz z matką wywieziona na roboty do Niemiec Pracowałam od 10.X. w Zjedn.wiemieckich Zakładach metalowych w Hildesheim koło Hannoveru.mieszkałam w obozie "Lademülle".

Po zbombardowaniu w dni 26.III.45r zakładów ,oboju i w dużej części miasta i po szukaniu zatrudnienia, dostałam wreszcie pracę w szpitalu wojskowym na początku kwietnia 45r. Zaraziłam się tyfusem brzuszny i zostałam umieszczona w szpitalu Sw,Bernarda ,gdzie przebywałam do początku maja.

Po wyzwoleniu przez armię amerykańską i zakończeniu wojny zamieszkałam jako b.żołnierz A.A. w Polskim Ośrodku Wojskowym Nr.135 (Gallwitz-Kaserne Hildesheim) i pracowałam jako sanitariuszka w szpitalu Ośrodka.

W październiku 1946r zawarłam związek małżeński z Witoldem Konarskim per. bat."Miotła" A.A.

W VII.47r wróciłam ( z matką i mężem) do Polski i zamieszkałam w Falenicy/Warszawę przy ul.Jasnej1.

W I.48r przyszła na świat moja córka Anna.

Ze względu na trudne warunki ,w jakich się znalazłam (m.inn. rozwód) podjęłam pracę w Wytwórni Aparatów Fizykalnych "Roto4" w Falenicy - w charakterze sekretarki i urzędniczki ( od 1.VI.48r do 30.VI.49r

FUNDACJA

"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
i Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu

wpisano dnia:

14.06.2012

nr.

1062 / 2012

opisnik:



Ze względu na trudne warunki, w jakich się znalazłam ( m.inn. rozwój podjęłam pracę w Wytwórni Aparatów Fizycznych "Rotor" w Falenicy- w charakterze sekretarki i urzędniczki (od 1.VI.48r do 30.VI.49r)  
Od 1.VII. do 30.IX.49r byłam zatrudniona w Centrali Handlowej Przemysłu metalowego" w W-wie przy ul.Karolkowej - w Dz.Księgowości.

Dn.1.X.49r rozpoczęłam pracę w Państwowym Wydawnictwie Gospodarczym "Polgosp"- W-wa ul. Hoża 35, potem przemianowanym na Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne- W-wa ul.Poznańska 15, w Dziale Księgowości, jako Kierownik Księgowości Finansowej (od 1.XI.52r)

W I 53r przeszłam do Redakcji Książek. Po ukończeniu kursu "Prawo autorskie"(prowadzonego przez mec.Drabienkę) zostałam kierownikiem Sekcji Umów.

Oprócz pracy zawodowej udzielałam się w Kasie Zapom.-Pożyczkowej, w PTTK i brałam udział w pracach społecznych Zespołu Redakcyjnego.

W 1981r z uwagi na zły stan zdrowia przeszłam wcześniejszą emeryturę

Jestem członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, oraz członkiem Komitetu Opieki nad grobami żołnierzy bat."Zośka".

Uczestniczę w życiu Środowiska b.żołnierzy bat."Zośka".

12.X.1974r zostałam awansowana na stopień kaprała przez Siły Zbrojne P.R.L.

3.V.2011r zostałam awansowana na stopień porucznika przez Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej.

W VIII 1953r ponownie zawarłam związek małżeński z Jerzym Winiarski -mgr.inż.lotnictwa, adiunktem w Instytucie Lotnictwa (współkonstruktor samolotów Bies, Iskra, Iryda)

Córka Anna-Gillespie -ukończyła filologię angielską na Uniwersyteci Adama Mickiewicza w Poznaniu.Zamieszkuje w Hiszpanii.Wnuk Piotr Gillesp mieszka w Anglii.

Brat mój Jerzy ps."Słon-miecz" poległ dn 23.IX.44r na ul.Wilanowskiej przy przebijaniu się jego Oddziału do Środnieścia.

Ojciec -aresztowany przez Niemców w X.41r zmarł w szpitalu więziennym dn.7.XI.41r na tyfus.

## Odznaczenia:

Srebrny Krzyż Zasługi -1969r  
Krzyż Partyzancki 1969r  
Krzyż Powstańczy 1982r

## Odznaki:

1979r Zasłużony Działacz Kultury  
1977r 25lat w PTTK  
i inne odznaczenia honorowe.

*Janina Winiarska*

II. Materiały uzupełniające relację:

- „Danuta Winiewska (i Powstania Górnego) „słoni-inko”.  
Wyjazd z relacją, przeprowadzony 15. listop. 2007r. pna  
Miejscu Brama. Wydruk z internetu. K. 20, s. 20.



Rocznik: 1926

Funkcja, stopień: strzelec, sanitariuszka

Formacja: Batalion „Zośka”

Dzielnica: Wola, Stare Miasto, Śródmieście

Nazywam się Danuta Winiarska, urodzona 11 marca 1926 roku w Warszawie. W Powstaniu brałam udział w Batalionie „Zośka” jako sanitariuszka. Pseudonim „Słoń-inka” – zaczerpnięty od pseudonimu mojego brata „Słoń”.

**Proszę coś powiedzieć o latach przedwojennych. Gdzie pani mieszkała, czym zajmowali się pani rodzice?**

Przed wojną mieszkałam z rodzicami w Warszawie, od siódmego roku życia przy ulicy Wilczej 24, przedtem na Hożej 40. Mój ojciec był właścicielem firmy „Pomoc szkolna”, właściwie współwłaścicielem. Ta firma zaopatrywała szkoły i uczelnie wyższe w pomocniczy sprzęt szkolny. To były wyposażenia gabinetów fizycznych, przyrodniczych, poza tym szkła laboratoryjne. Firma była na Krakowskim Przedmieściu 38, niestety potem była zbombardowana. Mama zajmowała się domem. W swojej młodości, po skończeniu gimnazjum rosyjskiego, pracowała w banku. Kiedy zaczęła się wojna z Niemcami, Rosjanie ewakuowali banki do Moskwy. W tym banku pracował mój szwagier i wszystkich ich ewakuowali do Moskwy. Tak że mama rewolucję przeżyła tam, miała dobre rozeznanie, co się tam działo. Potem jak wróciła do Polski, to krótko pracowała w banku, a potem wyszła za męża i już się zajęła domem. Tak że właściwie to cały czas opiekowała się nami. W domu zawsze była gospośnią do pomocy. Warunki mieliśmy dobre, raczej byliśmy zamożni, ale nie bogaci. Wyjeżdżaliśmy na wakacje rokrocznie, w różne miejsca w Polsce. Chodziliśmy na jakieś koncerty do teatrów.

Poza tym byliśmy w szkołach. Byłam w Prywatnej Szkole imienia Zofii Wołowskiej na Pięknej 28. To była szkoła powszechna, jak to się nazywało wtedy, gimnazjum i liceum. Potem już chodziłam w czasie okupacji na komplety. Brat chodził do III miejskiego na Śniadeckich 8 i tam właśnie z tą całą paczką swoich kolegów potem przeszli do konspiracji, do „Zośki”.

**Ile lat brat był starszy od pani?**

Trzy i pół roku.

**Jak przed wojną układały się pani stosunki z bratem?**

Miałam z bratem bardzo dobre stosunki, to znaczy słuchałam go grzecznie. On przede wszystkim był zafascynowany samolotami. Jego pierwsze rysunki jako takiego szkraba małego to były samoloty. Potem zawsze chodziliśmy na lotnisko, przy ulicy Wawelskiej wtedy było lotnisko, żeby oglądać samoloty. Zawsze jak mama pytała, dokąd idziemy, to: „Na lotnisko”. Żeśmy tam chodzili razem. On urządzał w domu zabawy bardziej chłopięce. Tak samo książki czytał Gąsiorowskiego, inne jakieś wojenne i ja po nim też



to czytałam. Tak że właściwie się podporządkowywałam, ale mieliśmy bardzo dobre stosunki. Poza tym wyjeżdżał zawsze na jeden miesiąc na obozy harcerskie, a drugi miesiąc spędzał już razem z nami w Kazimierzu, w górach czy w jakichś innych miejscowościach.

**Jak pani wspomina Warszawę przedwojenną? Jakie to było miasto?**

Dla mnie to było piękne miasto. Chodziłam na Piękną do szkoły, mama po mnie przychodziła i szłyśmy zawsze do parku Ujazdowskiego czy do Łazienek. Zawsze mnie zachwycał ten park, drzewostan i ten pałac w Łazienkach. Poza tym chodziliśmy pieszo nieraz na spacer z Wilczej na Stare Miasto, spacerkiem Nowym Światem. Nowy Świat był oświetlony, pełen sklepów, ładne towary jakieś, więc mama lubiła oglądać. Też się temu przyglądałam i był bardzo miły nastrój. Warszawa pogodna, radosna wydawała mi się wtedy. Chodziliśmy na Stare Miasto, bo bardzo nam się tam podobało i właściwie mam miłe wspomnienia z Warszawy, bardzo przyjemne. W niedzielę nieraz tata wynajmował dorożkę i żeśmy jechali sobie na Pragę do parku Paderewskiego. Też piękny park i w ogóle bardzo przyjemnie. Łódzckami pływaliśmy po stawie. Mam wspomnienia naprawdę bardzo miłe.

Poza tym mieliśmy rówieśników, naszych przyjaciół, odwiedzaliśmy się, też w tym parku żeśmy się spotykali po szkole. Na ślizgawkę chodziliśmy razem do Parku Ujazdowskiego, potem do Doliny Szwajcarskiej. Szalenie miłe wspomnienia, nawet z czasów okupacji, jeszcze na początku też tam spotykaliśmy się.

**W Dolinie Szwajcarskiej można było wypożyczać łyżwy, tak?**

Myśmy mieli swoje, takie „salkofy” od razu z butkami, szło się z tym, w szatni zmienialiśmy. Jak byłam mała, to mama stała, czekała i marzła, a ja jeździłam. Potem już same się spotykałyśmy, zresztą u mojej koleżanki Zosi, która mieszkała naprzeciwko właśnie Szwajcarskiej Doliny. Żeśmy u niej spotkanko robiły i potem schodziłyśmy na ślizgawkę. Bardzo było przyjemnie. Ale można było wynajmować łyżwy też, niektórzy wynajmowali. Poza tym była oddzielona część tej ślizgawki, tam się popisywali nasi dobrzy łyżwiarze, jakieś akrobacje robili. Bardzo było ciekawie, piękna muzyka. Pamiętam, że jak tylko wchodziłam z Mokotowskiej w Chopina, to już się słyszało muzykę właśnie z lodowiska, przyjemną, porywającą. Bardzo to było przyjemne. Jakoś tak mi to zostało w pamięci dobrze, po prostu to widzę.

**Ale wtedy Warszawa to przecież było miasto wielu kultur.**

To tak wyglądało, że tu gdzie myśmy mieszkali, to znaczy centrum Warszawy, tutaj mieszkali właściwie, można powiedzieć, Polacy przede wszystkim. Natomiast dzielnica żydowska to była Za Żelazną Bramą. Muszę przyznać, że przedtem jeszcze nigdy tam nie byłam. Jakoś do Saskiego Ogrodu się chodziło, ale dalej nie. Czasem się widywało Żydów w ich strojach, to budziło zainteresowanie dzieci, bo to było coś zupełnie obcego. Jeśli chodzi o jakieś inne narodowości, to one tak właściwie wrosły w różnych dzielnicach. Właściwie nie było różnic, nie wyczuwało się. W szkole na przykład... w mojej szkole, ponieważ to była szkoła prowadzona przez panią Wołowską, ona była bardzo praktykująca, wierząca i nawet część nauczycielek to były siostry ukrytki, więc nie przyjmowano Żydówek do tej szkoły w ogóle. Ale zdaje się, że w czasie okupacji to jednak już, bo tak nam się wydawało, że jedna z naszych koleżanek chyba była Żydówką. Zresztą szalenie zdolna, miła i przyjemna, ale właśnie już inaczej to wszystko

było traktowane.

**Jak pani zapamiętała wybuch wojny, wrzesień 1939 roku.**

Miałam lat trzynaście. Pamiętam, że już się mówiło o wojnie i zaklejaliśmy taśmami szyby, żeby nie powypadały w razie wybuchów. Stałam na oknie i kleiłam właśnie tymi paskami. Przyszedł ojciec, wszedł do pokoju i powiedział: „No to zaczęła się wojna”. Tak się rozdarłam, nie wiem, co mnie się stało, jakieś przerażenie, zaczęłam krzyczeć. Ojciec do mnie podszedł i mówi: „Dlaczego ty tak krzyczysz? Uspokój się, no wiesz, może wszystko będzie dobrze”. Jakoś mnie uspokoił. Nie wiem dlaczego, nigdy się tak nie zachowywałam. Po prostu na to słowo „wojna” jakiś paniczny lęk. Oczywiście było bardzo ciężko z żywnością. Pamiętam, że rodzice nieraz szli dokądś o szóstej rano, żeby kupić chleb, bo gdzieś na przykład na Czerniakowie sprzedawano chleb. Mnie tata nauczył, jak się pali w piecach, bo to były piece kaflowe, więc mnie nauczył, jak trzeba poukładać drewnianka i to przygotowywałam. Jurek też chodził bardzo często z rodzicami po te zakupy. Poza tym nie było węgla, bo zawsze na zimę się sprowadzało opał do piwnicy, ale nie było, po prostu nie dowieźli. Siedzieliśmy przeważnie w kuchni, bo tam było najcieplej, a na noc to się tylko butelki z gorącą wodą wkładało do łóżek, do tapczanów i każdy wskakiwał, zawijał się. Ciężko było, bardzo ciężko. Z początku szkoły były nieczynne, potem jakoś uruchomiono szkoły, tak że chodziłam.

**Ale jak wyglądała obrona Warszawy. Pani rodzina jakoś brała udział w tej obronie?**

Aha, jeśli chodzi o obronę Warszawy. Oczywiście były te okropne bombardowania. Pamiętam, że kiedyś stałam na oknie i [byłam] zachwycona, bo zobaczyłam polski samolot i niemiecki. Akurat zestrzelili ten niemiecki samolot, więc człowiek się cieszył szalenie. Ale poza tym to właściwie prawie się nie wychodziło z domu. Natomiast mój tata nie służył w wojsku bo miał kategorię „C” ze względu na zdrowie. W czasie pierwszej wojny na tyfus zachorował i w ogóle nie służył. Ale za to bardzo działał społecznie. To była służba... Nie pamiętam, jak to się nazywało... W każdym bądź razie część obywateli właśnie w Warszawie była zorganizowana, żeby pomagać na przykład przy sprzedaży chlebów w piekarniach czy coś. Bo ludzie się tłukli, po prostu nieznośni byli, więc taki pan przychodził, ustawiał towarzystwo w kolejkę i regulował, żeby to szybciej szło, żeby każdy dostał. Tego typu prace i tym się zajmował mój tata. Właściwie rano wychodził już po tym przyniesieniu chleba, szedł i działał w ten sposób. Mama siedziała z nami, nieraz... nie, wtedy do piwnicy żeśmy nie schodzili, to dopiero w czasie Powstania było.

**Jak ludność, pani, pani rodzina odbierała Stefana Starzyńskiego?**

Słuchaliśmy jego przemówień, już takim schrypiałym głosem pod koniec mówił. W ogóle to był naprawdę bohater, prawdziwy warszawiak, który kochał to miasto, tak dużo robił. Zresztą mój tata go znał osobiście przed wojną jeszcze, bo właśnie była organizowana wystawa „Warszawa wczoraj, dziś, jutro”. To organizowały różne firmy, tata też coś przedstawiał, w każdym bądź razie był zachwycony Starzyńskim, że on jest po prostu zakochany w Warszawie i chce żeby ta Warszawa była piękna. Takie miał plany wspaniałe. Mój ojciec też zresztą się tym entuzjazmował bardzo i bardzo chciał. Też urodzony w Warszawie, więc tak jakoś byliśmy bardzo z Warszawą związani wszyscy, nawet jeszcze od dziadków, bo jeszcze dziadkowie też tutaj mieszkali i jakaś

wież jest z tym miastem. Jak w Niemczech, skończyła się wojna i z mamą się zastanawiałam: „Dokąd my wrócimy?”. Tu nie mamy do czego, bo wszystko zniszczone. Właściwie myślałam, że może Kraków? Ale nie, to już lepiej pod Warszawą, żeby tu blisko być.

**Czy wie pani dokładnie, co tata robił na tej wystawie?**

Jakaś aparaturę, którą właśnie wykonywali, bo oprócz tej firmy, gdzie sprzedawano te wszystkie artykuły, to jeszcze na Żytniej była fabryczka należąca do tej firmy i tam wykonywano pewne urządzenia. Nawet potem jak już był kryzys, szkoły nie bardzo miały pieniądze, to ojciec się przerwucił na dostawy dla wojska. Wiem, że jakieś stoliki do aparatów podsluchowych. Potem na tą wystawę, bo myśmy byli na tej wystawie, to było coś jak rzutniki, nie umiem tego określić dzisiaj, gdzie właśnie było to przedstawiane, to znaczy nie z przodu się dawało ten obraz, tylko od tyłu. To były właśnie takie wizje tej Warszawy przyszłej i takie, co były wcześniej. Właśnie te aparaty ojciec tam ofiarował i to robiono. Ta wystawa była chyba w Muzeum Narodowym, o ile pamiętam. Zresztą ojciec z nami zawsze chodził na różne wystawy, jakoś tak żeśmy się interesowali tym wszystkim od dziecka.

**Co pani jeszcze pamięta z tej wystawy?**

Najbardziej pamiętam... to były już nawet jak gdyby rysunki przyszłej Warszawy. Szerokie ulice, przed wojną to nie były takie szerokie, Marszałkowska, Aleje Jerozolimskie najwyżej. Ale tak dobrze nie pamiętam szczegółów, wiem tylko tyle, że były wspaniałe arterie. Co dalej to już nie wiem, bo muzea to pewnie te same były. Może domy duże, ale poza tym to nie.

**Czy pani spotkała może osobiście Starzyńskiego?**

Nie, niestety. Tylko ojciec nam opowiadał, zauroczony nim zresztą bardzo. Tak nam to przekazał, że to taki wspaniały człowiek, pełen projektów na przyszłość. Straszne to było, jak go aresztowali, właściwie nie wiadomo było, co się stało, a potem dowiedzieliśmy się, że zginął.

**Niemcy wkroczyli do Warszawy.**

Tak, to było okropne. Nie wychodziłam wtedy, rodzice powiedzieli, żebyśmy się nie szwędali po ulicach, bo niebezpiecznie. Defilada przecież była w Alejach Ujazdowskich, Hitler i to wszystko razem, obrzydliwie. Potem jak już się wychodziło, to widzieliśmy tych żołdaków takich butnych, pewnych siebie. Chyłkiem, ciszką się przechodziło, żeby się nie narażać. Nieprzyjemne to było bardzo. Oczywiście w niedługim czasie, zaraz w grudniu zaczęły się akcje. Tutaj w Wawrze przecież rozwalili tyłu ludzi. Ojca wspólnik mieszkał w Aninie właśnie. Żeśmy się bardzo denerwowali czy kogoś z jego rodziny nie zabrano, ani jego, ale jakoś nie. Zresztą to było ciekawe, on nazywał się Ludwik Koch, pochodził z Niemiec, ale studiował w Polsce i czuł się Polakiem. Oczywiście Niemcy już chcieli, żeby się zrobił folksdojczem czy nawet *Reichdeutschem*, ale cały czas się opierał i jednak wytrwał do końca, nie poddał się Niemcom. Tak, że wtedy też jakoś ocalili, ale może dlatego, że oni trochę dalej, w Aninie mieszkali. A tu wybrali zupełnie przypadkowych ludzi, młodych ludzi, starych ludzi i rozstrzelali, straszne. To były pierwsze oznaki.

**Czy ludność Warszawy nie miała na przykład pretensji do Starzyńskiego o to, że Warszawa dalej nie walczy?**

Nie, Warszawa była już tak zmęczona, ludzie byli już zmaltratowani tym wszystkim, że... Jakoś wśród naszych znajomych, bo odwiedzali rodziców, słyszałam rozmowy, to jakoś nikt nie miał pretensji do Starzyńskiego, nie. Uważali, że: „No trudno, no musieliśmy się poddać”. Przecież tu walczyli żołnierze jeszcze, a potem ciągle mieliśmy nadzieję, że się wycofają na wschód, że jeszcze będą walczyć, że może jeszcze zwyciężymy. Tak się myślało, tylko potem znów 17 września, jak tu weszli ruscy, to już wtedy było okropne. Dużo znajomych właśnie przedostało się na Węgry, do Rumunii, ale to z wojska, a tak to siedzieli wszyscy. Właściwie oglądało się egzekucje okropne, coś straszego.

**Pani była świadkiem takich egzekucji?**

Samej egzekucji nie, bo szłam akurat Kruczą, a na Pięknej, zaraz blisko w rogu, właśnie była egzekucja. Szłam właśnie w kierunku Pięknej, nie wiem, może nawet na jakieś komplety, bo moja szkoła w czasie okupacji nazywała się Szkołą Zawodową Koronkarsko-Hafciarską. Oczywiście leżała jakaś robótka, ale lekcje normalnie się odbywały. Oczywiście żadnej koronki nie robiłam przez cały ten czas, ale właśnie żeśmy codziennie szły do szkoły i wtedy chyba szłam do szkoły. Ale mnie cofnęli ludzie, którzy szli, mówili: „Zawracaj, bo tam jest egzekucja, zawracaj”. Nieraz tak było, przypominam sobie, kiedyś już później w czasie okupacji, musiałam zanieść jakieś gazetki na ulicę Marszałkowską. Wyszłam z Wilczej na Marszałkowską, prościuteńko na Niemców, stały dwie budy i oni wylapywali kogo się dało. Troszkę mi się nogi ugięły, bo miałam tą gazetkę w torebce, ale jakoś poszłam prosto w swoją stronę, właśnie w stronę Nowogrodzkiej. Widziałam, że jeden z tych Niemców idzie naprzeciwko mnie, w moim kierunku. Naprawdę zamarłam, ale szłam dalej. W tym momencie spojrzałam, że on skręca, obok szedł młody człowiek i on do niego podszedł. Oczywiście sobie pomyślał, że tamten będzie bardziej niebezpieczny i udało mi się przejść. Ale budy były wypełnione już ludźmi. Okropne to było, bo potem wywozili albo rozwalali. Nasz rówieśnik (to znaczy mojego brata rówieśnik, ale myśmy się od dzieci bawili razem, wyjeżdżaliśmy na wspólne wakacje) Zbyszek na Pawiaku został rozwalony. Chłopak miał osiemnaście lat wtedy. Tak że to były okropne historie.

**Jak właśnie zaczęła się pani przygoda z konspiracją?**

Przede wszystkim zorientowałam się, że mój brat coś działa. Przychodzili koledzy, zamykali się w innym pokoju, siedzieli, gadali. Poza tym brat zniknął nieraz na jakiś okres. Potem mama miała pretensje, że nagle coś wymiata spod kredensu a wymiata pistolet. Mówi: „Słuchaj, przynajmniej mi powiedz, gdzie to jest, jeżeli zostawiasz coś takiego”. Orientowałyśmy się, że on jest w konspiracji. Później założono pod podłogą skrytkę, tak że tam już się gromadziło te różne niebezpieczne rzeczy. Ale jak już miałam siedemnaście lat, zresztą i wcześniej, to go męczyłam, że też chcę do konspiracji, żeby mnie wprowadził. Właśnie jak miałam siedemnaście lat, to wreszcie wiosną 1943 roku umówił mnie z Olenką Grzeszczak, która prowadziła kursy sanitarne. Poszłam na Mokotowską ulicę i zaczęłam to szkolenie. Tak się zaczęło. Potem był egzamin, doktor „Brom” Kujawski sprawdzał, co umiemy, i wtedy mnie właściwie już wprowadzono do konspiracji. Dostałam przydział sanitariuszki do samochodowego

plutonu.

**Składała pani przysięgę, tak?**

Jeszcze nie. Byłam w tym plutonie, potem mnie przeniesiono, już chyba późną jesienią, do plutonu... 4. chyba, do Skalskiego. A na Boże Narodzenie u Ewy Stefanowskiej na Kopernika 11, tam nieraz ześmy się spotykały, robiło się ogniska, jak harcerskie spotkania, śpiewaliśmy piosenki i była przysięga, to było w grudniu. ...

12 1953 przysięga -  
zapomniała

**Jak wyglądała ta przysięga?**

Kilka nas dziewczyn było. Ale co najgorsze? Zupełnie nie pamiętam ani pseudonimów, ani osoby, która przyjmowała. To był mężczyzna na pewno, tylko zupełnie nie pamiętam, kto to był. Chyba „Brom” był też, bo to nie jeden i powtarzaliśmy słowa przysięgi.

**Czy egzaminy sanitarne były trudne?**

Trzeba było zrobić zastrzyk domięśniowy, podskórny. Doktor pytał, co należy zrobić, jeżeli ktoś na przykład jest ranny, przestrelone ma płuco, jak bandażować i tak dalej. Poza tym musiałyśmy pokazać jak bandażuje się ręce, nogi, kolana, takie różne rzeczy. Pierwsza pomoc też. Jak byłam przydzielona do tego plutonu, to uczyłam tych chłopców właśnie zasad pierwszej pomocy. Na tym polegała nasza praca, a potem...

**Doktor „Brom” był surowym egzaminatorem?**

Bardzo sprawdzał co się umie, czy się nie umie, ale był bardzo sympatyczny, właściwie opiekował się nami. Bo potem w czasie Powstania to też przy nim byłam, bardzo przyjemny był. Potem powstała sekcja donosicielek broni, to znaczy jak gdzieś były jakieś szkolenia o broni, to dziewczęta przenosiły z magazynów na ten punkt taką broń czy inną i potem po prostu z powrotem do magazynu odnosiły. Przygody były przeróżne przy tym. Magazyn był jeden u Bartnickiego Kadłubka na Złotej. On mi teraz mówi: „Zawsze jak tyś przyszła i brałaś tą paczkę, to mnie serce bolało ze strachu, żebyś tylko doniosła”. Bo brat był jego kolegą. Potem było u Dzieciątka Jezus w szpitalu, Kuba Okolski oczywiście działał, bo jego tata tam był ordynatorem, więc stamtąd brałyśmy i nieraz we trzy przyjechałyśmy, dostałyśmy tę broń. Pamiętam kiedyś wzięłyśmy jakieś granaty chyba czy jakieś coś i niosłyśmy to w torbach gospodarczych. Te torby były ze sznurka robione, to się kupowało właśnie gdzieś na targu, z deseczką z jednej i z drugiej strony i uszy ze sznurka, taka torba gospodarcza. Miałymy załadowaną broń w to, ześmy podjechały na Stare Miasto, na ulicę Świętojańską. Naprzeciwko katedry była kwiaciarnia i tam to dostarczałyśmy, albo na Hipoteczną. Właśnie wtedy z tymi torbami przyszłyśmy na Hipoteczną, gdzie chłopcy mieli magazyn i coś robili w garażu, otwarta była kłapa w podłodze. Oczywiście mnie się zaraz z jakimiś obrazami powstańczymi to kojarzyło, bo to tak wyglądało, oni usmarowali, konserwowali tę broń. Myśmy oddały to, pożegnały się, wyszły na zewnątrz, na ulicę, prościutko na patrol niemiecki. Oczywiście byłyśmy już spokojne, bo nic nie było, ale oni nawet do tych toreb nie zajrzeli tylko zagadali a to, a owo. Jak to Niemcy, czasem dziewczyny młode zaczęli, raczej to tak wyglądało i puścili nas. Ale ześmy sobie pomyślały: „Dobrze, że w tę stronę, a nie w drugą akurat”. Takie były sytuacje.

Kiedyś wiozłam karabin, zwykły karabin, tylko długi. Był opakowany w szary papier, a na końcu miał zatknietą szczotkę, tak żeby wyglądało, że jakieś rzeczy wiozę. Wiozłam to na Idzikowskiego właśnie od Dzieciątka Jezus, tramwajem miałam jechać. Wsiadłam do tramwaju i patrzę, o dziwo, na naszym pomoście, gdzie tylko Polacy mogli jeździć, bo Niemcy mieli dostępny pierwszy pomost, stoi jakiś Niemiec, żołnierz. Tłok jest potworny, trzymam ten karabin i pchają mnie na niego, więc za wszelką cenę staram się jakoś odwrócić. Udało mi się, ale naprawdę byłam przerażona. Potem on wysiadł, a mnie przepchnęli do środka. Pod oknami była ławka. Baba jakaś siedziała, a mnie się coś rozwiązało i zagrzecotało. Ta baba nagle mówi: „A co pani tam za żelastwo wiezie?”. Troszkę mnie przytknęło, ale obok niej siedział młody człowiek, natychmiast się podniósł, ustąpił mi miejsca i mnie zasłonił. Już wiadomo było kto zacz i tak dowiozłam to. Ale takie były momenty, że można było wpaść.

**Pamięta pani, w które miejsce na Idzikowskiego pani to wiozła?**

U góry były wille, nie mogę sobie przypomnieć numeru, ale wiem, że to była willa druga, trzecia od góry. Tak że zawiozłam chłopcom. Ach, na Wolską wiozłam też, różnie. Jurek nieraz też mi mówił: „A zostało u koleżanki na Kruczej ulicy – tam nasza koleżanka mieszkała – to wstąp do niej i zabierzesz to”. Blisko, to jakoś przeleciałam do domu na Wilczą i już. Tak to było.

**Ale jak rodzice podchodzili do tego, że pani działała w konspiracji?**

Aha, muszę powiedzieć, że mój ojciec zginął w 1941 roku. Nie wiedzieliśmy, bo przecież się nie rozgłaszało, ale do ojca przychodzili jacyś panowie, jakoś się tytułowało: „Pan major”. On przyjeżdżał z Kielc czy z Radomia. Wiem, że się spotykali, u ojca w gabinecie siedzieli, rozmawiali. Mówiło się, że oni kupują od Niemców mąkę, że tym handlują, jakieś takie historie. Wiem, że ojciec jeździł też do hrabiego Platerra, do majątku i też stamtąd coś czasem przywoził. Ale potem się okazało, że ten pan major został aresztowany i nawet zastrzelony, bo się bronił u siebie w domu z synem i obydwaj zostali zastrzeleni. Potem któryś z tych panów ojcu dał znać, że się ojciec powinien ukrywać, że coś jest nie w porządku. Któregoś dnia przyszli Niemcy do domu, ojciec akurat był na obiedzie i zabrali ojca. Mama się próbowała dowiedzieć gdzie, na razie to koło Hipotecznego jakieś więzienie było, trzymali, przesłuchiwali. Krótko był, chyba dwa tygodnie, albo mniej i dowiedziała się, że jest chory na tyfus, że przeniesiony do szpitala i dokładnie w dwa tygodnie zmarł. Oczywiście to był dla nas straszny cios. Ojciec miał czterdzieści osiem lat, więc jeszcze młody człowiek właściwie. Rodzina się trochę rozpadła. Jeśli chodzi o mamę, to była bardzo dzielna. Mama wiedziała, że Jurek w konspiracji, mama wiedziała o tych wszystkich historiach, ale nigdy nie protestowała, tylko: „Proszę, Jurek uważaj na siebie”. Tak samo jak ja potem byłam, zawsze nas tylko ostrzegała, żebyśmy uważali.

Poza tym jak przychodziła młodzież, to mama zawsze coś im przygotowała do zjedzenia, bo przecież nie bardzo było co jeść, taka nędza. Mama tak jakoś serdecznie do wszystkich podchodziła. Nasz dom był taki, teraz się dowiaduję, że chętnie przychodzili do nas. Zresztą mieliśmy doskonałe płyty i bardzo często żeśmy sobie w niedzielę czy w sobotę robili koncerty, czy muzyki poważnej, czy jakiejś lekkiej, młodzież przynosiła swoje płyty i nasze były. Przeważnie szło się do kościoła w niedzielę na plac Zbawiciela, potem: „Co robimy? Idziemy do »Słoniów«”. I tutaj żeśmy sobie takie koncerciki robili, słuchaliśmy.

### **Kto najczęściej przychodził?**

Kazik Łodziński, bardzo był zaprzyjaźniony z Jurkiem chyba od pierwszej klasy. Tyczyńscy, Wiesiek, Tadeusz, Kuba Okolski, Bartnicki, którzy jeszcze... Już nie pamiętam wszystkich nazwisk, ale właściwie ci chłopcy z jego klasy. Oni byli w „Felku” wszyscy. Nieraz tu zebrania mieli. O, jak miała być akcja pod Arsenalem, to u nas było zebranie. U nas się zebrali i nawet mama potem wspominała, że „Alek” przyjechał na rowerze i mamę poprosił, czy może zostawić rower, to potem zabierze. To znaczy nie mówili, że na akcję idą, ale niestety „Alek” zginął. Mama strasznie to przeżywała potem, że właśnie tak go widziała ostatni raz. Od nas wychodzili. Przychodził na wykłady... pseudonim „Dyrektor”, Kiwerski. Potem pracowałam z Kiwerską w wydawnictwie razem, tak że żeśmy się dogadały na temat pracy naszych bliskich. Dużo tych młodych ludzi... Ach, dziewczęta, przychodziła Hanka „Biała” Zakrzewska, właśnie bardzo się z nią przyjaźniłam, Jurek się trochę w niej kochał. Bardzo mu się podobała, śliczna dziewczyna była i bardzo odważna. Muszę coś opowiedzieć, żeby scharakteryzować nasze dziewczęta. Kiedyś Hanka z Kapralinką miały zanieść amunicję na punkt właśnie, a ten punkt był na ulicy Polnej 40, u koleżanki mojej mamy, która była Szwajcarką. Oczywiście na drzwiach tablica zawieszona, więc Niemcy tolerowali ją. Jej siostrzeniec to był „Kieros”, właśnie też z tego samego gimnazjum, kolega Jurka. Ciocię uprosił, żeby tam można było magazyn zrobić i dziewczyny miały zanieść tę amunicję. Jak wysiadały z tramwaju upadła paczka, pękła, to była amunicja ze zrzutu, zaczęło się to wszystko sypać. Ludzie w popłochu uciekali, a one co się dało zbierały do kieszeni, żeby to zabrać. Resztę, jakoś tę paczkę też zgarnęły trochę i uciekły do jakiejś bramy, a w tych bramach, albo na klatce schodowej były skrzynie z piachem i one to zakopały. Oczywiście już nie poszły dalej, tylko miały to wszystko przy sobie. Dopiero po pewnym czasie się udały do tej ciotki i zniosły to wszystko. Jurek siedzi w domu zdenerwowany potwornie, bo one już dawno powinny być, miały się zameldować. Wreszcie przychodzi Hanka i Kapralina. Opowiadają tę całą historię (siedziałam też razem z nimi), i w pewnym momencie zdejmują pierścioneczki dziewczęce, kładą przed Jurkiem, mówią: „No to my chociaż częściowo zwrócimy pieniądze za to, bo to przez nas strata”. Właśnie, jakie te dziewczyny były! Jurek się zaśmiał, mówi: „A co wy wyczyniacie? Chwała Bogu, że żyjecie, że w ogóle jesteście”. Takie były różne sytuacje.

### **Pani brat mówił, że się kocha w tej Hance?**

Myśmy to widziały nawet z mamą, zawsze Hania mu się podobała. Potem się dowiedziałam, że „Anodzie” też właśnie strasznie się Hania podobała i oni rywalizowali ze sobą. Wreszcie doszli do wniosku, że który więcej Niemców zabije, to ten będzie miał pierwszeństwo. Niestety Jurek zginął, „Anoda” potem, a Hania zginęła dużo wcześniej. Strasznie Jurek to przeżył, jak ona przy wycofywaniu się padła. Tak, dużo dziewczyn zginęło i chłopców.

### **Hania miała jakąś swoją sympatię, bardziej właśnie do „Anody”, czy do „Słonia”.**

Nie, ona ich lubiła. Zdaje się, że ona miała chłopaka, który był aresztowany, siedział gdzieś. Kiedyś mi powiedziała, że jej brat był aresztowany. To była córka tego baloniarza Zakrzewskiego sprzed wojny, właśnie on brał udział w zawodach balonowych. Znałam jej mamę, po wojnie przyjeżdżała do mnie, to znaczy do nas, bo z

mamą mieszkalam. Ale Hania, kiedyś jak myśmy rozmawiały, bo jej napomknęłam oczywiście, że jest wielką sympatią Jurka, ale ona właśnie dała do zrozumienia, że jej brat i chyba jej sympatia siedzą gdzieś. Ale wiem, że po wojnie ten brat wyszedł jakoś jednak, na szczęście doczekał. Hanka ładna była, bardzo przyjemna, w ogóle fajne dziewczyny były.

#### **Chłopcy mieli fantazję, że się tak założyli o dziewczynę.**

Właśnie, potem się dowiedziałam dopiero, Jurek o tym mówił już później. Tak to było. Niestety za dużo zginęło naprawdę bardzo wartościowych ludzi. To by byli świetni ludzie kiedyś. Wszyscy studiowali, każdy myślał o tym, żeby mieć jakiś zawód.

#### **Co Jurek studiował?**

Jurek [poszedł] na Politechnikę. Najzabawniejsza historia, że maturę robił u nas w domu. Akurat tak wypadło, że u nas w domu zdawali maturę. Wiem, że tata rozmawiał z jego profesorem. Profesor mówił: „Ach, Jurek to jest przyszły konstruktor samolotów”. Kochał to i w ogóle robił cudowne modele w domu. Obłożony gazetami, pismami niemieckimi, właśnie na temat lotnictwa i właśnie profesor powiedział: „Ach, bez problemów wejdzie na Politechnikę”. Bo to tajne wszystko. No i go wprowadzili. Na Politechnice był i marzył o tym, żeby budować samoloty.

#### **Były jakieś przygotowania do Powstania Warszawskiego?**

Właściwie myśmy cały czas wiedzieli, że się szykujemy do Powstania, że to się skończy akcją zbrojną. Na kilka dni przed Powstaniem był alarm i żeśmy zostali zgromadzeni w lokalach, na przykład dziewczęta były u Ewy Stefanowskiej i żeśmy czekały na jakieś hasło, czy ruszamy do Powstania, czy nie. Miałyśmy już torby sanitarne ze sobą przygotowane, jakieś ubrania, ale potem odwołano. To był koniec lipca. 1 sierpnia dostałyśmy polecenie, ja i „Beata” Barbara Zmysłowska, żeby przewieźć z ulicy Miodowej, z jakiegoś magazynu cukier, na ulicę Wolską, tam zgromadzić dla powstańców żebyśmy mieli zapasy. Myśmy oczywiście jakiegoś ryksiarza złapały i on nam woził to. Zrobił jeden kurs, zawiózł te worki, zataszczyłyśmy to, potem drugi kurs, zawiozłyśmy to wszystko i wracałyśmy po prostu już do Śródmieścia. A powiedziane było, że musimy właśnie pójść do Ewy na Kopernika, żeby się dowiedzieć, jakie są dalsze rozkazy, co mamy robić. Idąc Alejami Jerozolimskimi, nagle usłyszałyśmy syreny do Powstania, w ogóle zamurowało nas, pędzimy na Kopernika. Mama Stefanowska mówi: „Słuchajcie dziewczynki, wszystkie dziewczyny już poszły, więc macie się zgłosić na Karolkową róg Mireckiego. Nie bierzcie już tych swoich rzeczy, tylko torby sanitarne”. Wyleciałyśmy, mama nas pobłogosławiła, ucałowała i tak dalej. Wzięłyśmy znów jakąś rykszę i każemy się zawieźć na Mireckiego róg Karolkowej, a on nam mówi: „Ja pań tam nie zawiozę. Ja mogę zawieźć Wolską kawałek, ale gdzieś przy Młynarskiej już proszę przejść”. No trudno, więc żeśmy poszły. Niemców żadnych nie było, ale takie podniecenie na ulicach, wchodzimy w Karolkową i cudowny widok. To był kawałek Polski, widzimy chłopców, dziewczęta z opaskami biało-czerwonymi na rękawach, niektórzy z bronią, w jakichś niby mundurach, w ogóle nastrój wspaniały. Podeszłyśmy, zameldowałyśmy się, już wiedziałyśmy bo było całe nasze zgrupowanie, właśnie „zośkowcy”. Tam była fabryka Telefunkena, więc nas umieszczono w tej fabryce. Pamiętam pierwsze straszne wrażenie kiedy usłyszałam samoloty nad nami i pomyślałam sobie: „No to koniec”. Jakoś o tym nie myślało się wcale, nie wiem,



wyleciało z głowy, że przecież oni mają samoloty, oni nas tym załatwią.

Potem byłam przy doktorze „Bromie” w naszym oddziale. Rannych przynosili, opatrywałyśmy. Kiedyś chłopcy zdobyli czołg niemiecki, dowódcą był jakiś Niemiec dosyć młody. Przyniesli go, miał wybity bark. Tak się panicznie bał, że w ogóle widziałyśmy na jego twarzy przerażenie. Doktor kazał zrobić mu znieczulający zastrzyk, to myślałam, że on odtrąci „Beatę”, tak się bał, ale usnął po tym zastrzyku. Oglądamy, a to jest esesman, ma numer. Beata mówi: „Po co go opatrywać?! Szkoda opatrunków!”. Doktor mówi: „Nie, jaki przyszedł na świat, taki musi pójść”. Bark naprawił, on się potem obudził, już też przerażony. Oczywiście chłopcy się już rwali. Był sąd, stwierdzono kto to jest i rozwalili go. Oczywiście każdy z chłopców chciał do niego strzelać, ale wyznaczono tylko jednego czy dwóch i skończyło się. Potem jakichś Niemców z Wehrmachtu złapano, to byli starsi panowie, siedzieli w jakimś pokoju strzeżeni. Polecono mi rano zanieść im śniadanie, więc z tacą przychodzę, ci Niemcy tacy przerażeni, widziałam, że oni się po prostu bali. Przyniosłam, postawiłam im tacę, jeszcze do mycia jakąś miednicę z czymś i oni w ogóle nie wierzyli własnym oczom, że są tak traktowani. Ale ich wcale nie rozwalano, to był Wehrmacht, w ogóle nie byli winni tak jak tamci dranie, przecież nie robili nic takiego strasznego. Tak że nie wiem, co potem z nimi, gdzie ich wsadzono, bo myśmy się później przenieśli już z Mireckiego na Okopową do szkoły Świętej Kingi. Tam żeśmy urzędowali, stamtąd wychodziliśmy na akcje, na cmentarze przeważnie i właśnie byłam ranna 8 sierpnia. Wyszliśmy na akcję na Cmentarz Żydowski, Niemcy odkryli, gdzie jesteśmy, zaczęli nas ostrzeliwać, trochę rannych mieliśmy. Przeskoczyliśmy przez Okopową na teren getta, za mur. Tam też Rysio zginął, taszczyłam go z kolegą, niestety już nie żył. Po czym przyniosły dziewczęta śniadanie, więc rozniosłyśmy naszym chłopcom i za murem, pod fabryką Pfeiffera żeśmy się usadowiły. Lunia Komarnicka była ze mną i przychodzili chłopcy, dziewczęta jakieś. Przyniosły prasę, myśmy sobie usiadły i czytamy to wszystko. Jak trzaśnie granatnik, bo oni wystrzelili z granatników, rąbnął dwa metry od nas. Huk potworny, zresztą poszło to wszystko w ścianę i od tej ściany... właśnie mam uszkodzony słuch, chodzę z aparatem teraz, bo przez dwa dni w ogóle nic nie słyszałam, ale potem jakoś mi to minęło. Oczywiście Lunia upadła, bo dostała odłamkami w nogi. Patrzę, mam dziurę w brzuchu, więc sobie założyłam opatrunek, już widziałam, że jestem ranna. Zresztą i w pierś, i w twarz, wszystko razem. Ale zaraz przylecieli chłopcy. Pamiętam, że „Miś” Deminet mnie wziął na ręce i pędził ze mną przez tę fabrykę, bo bardzo bliźutko była szkoła. Dziewczęta wyszły z noszami, położyły mnie na noszach i jakoś mnie donieśli do doktora „Broma”. Próbował wyjąć odłamki, ale bez aparatu rentgena to się nie udało, więc na operację do szpitala Jana Bożego. Położono nas na odkrytej ciężarówce. Pamiętam, że Kuba Okolski podszedł do mnie, jeszcze mnie pocieszał. Ale dostałam chyba za dużo środków przeciwbólowych, bo zasnęłam, straciłam przytomność i właściwie nic nie wiem, co się działo, jak nas wieźli przez getto, a podobno Niemcy walili do nas.

Przywieźli mnie na operację, też byłam nieprzytomna, dopiero oprzytomniałam jak doktor Falkowski, który mnie operował, bił mnie po twarzy, żebym powiedziała, ile mam lat i jak się nazywam. Rzeczywiście w tym momencie się ocknęłam i wiedziałam już, że to była operacja. Wyjęto odłamki, jeden odłamek został i teraz muszę chodzić na mammografię co roku, bo chcieli to usunąć jedni lekarze, drudzy mówią: „Nie potrzeba, jak siedzą tyle lat te odłamki, to nic nie będzie. Ale trzeba sprawdzać”.

Leżałam u Jana Bożego kilka dni. Byłam szczęśliwa, że leżę w łóżku, że przynoszą coś do jedzenia smacznego, chłopcy nas odwiedzali. Oczywiście było bardzo miło.

Dowiedziałam się, że Kuba zginął 11 sierpnia. To było dla mnie straszne, bo widziałam go, jak mnie złożyli na tym samochodzie, był taki serdeczny, przyjemny. Zginął. Potem zaczęło się bombardowanie szpitala z „krów” jak myśmy nazywali. Walili tak strasznie... sala była duża, dużo rannych, kto mógł to uciekł. Zostałam ja, bo byłam niedawno po operacji i przywieziona z operacji dziewczyna, która była nieprzytomna. Szyby wałą mi się na głowę, więc poduszka się okrywam, wreszcie zaczęłam wołać sanitariuszki. Przyleciały, wzięły mnie na ręce i zaniósły mnie do piwnicy. W piwnicy jeden przy drugim ranny na noszach, okropnie, w ogóle fetor potworny, ciemno, strasznie.

Przypominałam sobie, co opowiadano, co na Woli się działo, jak w szpitalu likwidowali, jak wrzucali granaty. Jedną noc przeczekałam i potem błagałam: „Wynieście mnie gdziekolwiek, ale żebym widziała słońce, żebym nie leżała w tych ciemnościach i nie chcę ginąć w takiej norze”. Przeniesiono mnie, na parterze leżałam pod wywietrznikiem. Co padł pocisk, to mnie na głowę waliły się sadze, więc wyglądałam wspaniale w tym, brudna. Przeleżałam trochę, goiło się świetnie wszystko, mówili lekarze, że jak na psie. Wreszcie pomyślałam: „No dobrze, ale tu nie ma nikogo z »Zośki«...”. Aha, przywieźli rannego „Żaka”, był w moim wieku, „Żak” był ranny w brzuch. Już wstawałam, więc siadałam koło niego, dosłownie tuż obok leżał. Moczyłam mu wargi, a to coś mu podałam, ale po dwóch dniach zaczął tracić przytomność. Już się orientowałam, trzy dni i koniec, zapalenie otrzewnej, nie było leków i „Żak” zmarł. Więcej z „Zośki” nie było tam nikogo, więc prosiłam, żeby dali znać do „Broma”, że tu jestem, żeby mnie zabrali. Któregoś dnia słyszę z podwórza krzyk: „»Słoń-inka! »Słoń-inka!“. Siostrę zawołałam, siostra przyprowadziła tych chłopców, właśnie „Brom” przysłał po mnie i zabrali mnie. Byłam na ulicy Mławskiej, na punkcie „Broma”, to znaczy w jakimś garażu ześmy leżeli, a obok był maleńki pokoik, w którym doktor operował. Ale już byłam między swoimi, byłam szczęśliwa. Ale walili strasznie i po prostu musieliśmy się znów gdzieś przenieść.

W międzyczasie się dowiedziałam, bo pytałam co ze „Słoniem”, „Słoń” zaginął z oddziałem, nie wiadomo, co jest. Nie przeszli tutaj, ale może gdzieś się przedostali. Pomyślałam sobie: „Gdzie się mogli przedostać, jak tam Niemcy byli?”. Miałam bardzo złe myśli wtedy. Któregoś dnia przylatuje Ewa Stefanowska, mówi: „Słuchaj Danusiu, »Słoń« jest na Żoliborzu!”. „Co ty opowiadasz?”. „Słuchaj, przysłał meldunek i jest u Jerzego ten meldunek”. Mówię: „Ja nie wierzę, muszę zobaczyć to”. Poszła, przyniosła mi ten meldunek, widzę charakter pisma Jurka i on podaje, kto tam z nim jest. Właśnie wymienił kolegów i koleżanki. Szalenie się cieszyłam. Potem siedział na Żoliborzu, ale nie wiedziałam dokładnie, co było, dopiero później się dowiedzieliśmy. Po kilku dniach nas przenieśli na ulicę Koźłą, do jakiego prywatnego, dużego domu. Najpierw nas wsadzili w parterowy... Któregoś dnia, to już przecież było ciepło bardzo, otwarte okna i nagle słyszę głos Jurka, który melduje swoje przybycie, wymienia kolegów z którymi jest, więc zerwałam się do okna. Patrzę, rzeczywiście „Słoń” jest. Oni przybyli kanałami z Żoliborza i tutaj się meldowali. Chyba Jerzy to przyjmował, już nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że w pewnym momencie usłyszałam, że nadaje mu awans na porucznika, to było coś pięknego, za tą działalność i że oni wrócili. Właściwie nieraz tak sobie myślałam: „Po co on wracał, jak już tam byli?”. Ale oni wszyscy: „Nie, do swoich”. Koniecznie tu chcieli. Przecież tam mogli też walczyć, mogli być w Kampinosie czy na Żoliborzu. „Nie, do swoich”. Tutaj przyszli, byli potrzebni, więc Jerzy widocznie uważał, że to bardzo ładny gest ze strony tych chłopców i dziewcząt. Wtedy się oczywiście Jurek dowiedział, że tutaj jestem, przyszedł mnie odwiedzić. Właśnie obok mnie leżał „Świs”, dobrze pamiętam i „Czart” był, tak że właśnie już bliscy koledzy. Ześmy się sobie rzucili w objęcia, a przyszły jakieś panie trochę starsze

od nas i patrzę, a one płaczą, wzruszyły się nami. Strasznie się ucieszyłam, Jurek też, że w ogóle żyjemy. Potem on już poszedł dalej na linię, oni zajęli pozycją u Jana Bożego...

#### **Czy on wtedy powiedział, co się z nim stało?**

Nie, jeszcze wtedy nie, bo to tak chwilę było i od razu oni poszli. Niestety zaraz za dwa dni zginął, zginął „Kieros”. Tylko się dowiedziałam, że Hanka zginęła, tylko to mi powiedział, jak Hanka zginęła, że wpadli do jakiegoś budynku, gdzie stały wszystkie śmieciary. Któryś chłopiec wołał sanitariuszkę, bo był ranny, ona do niego biegła, padł strzał i on to widział, więc strasznie to przeżył. Potem oni schowali się w tej śmieciarni, bo widzieli, że Niemcy dookoła. To już wszystko opisywał Leszczyc bardzo dokładnie, jak tam siedzieli i starali się nie oddychać, żeby ich nie usłyszeli. Szczęśliwie jakoś ich Niemcy nie zauważyli. Potem dalsze losy były takie, że właśnie Starówka już się kończyła, Niemcy bombardowali bardzo Stare Miasto i stwierdzono, że się musimy wycofać do Śródmieścia.

Na ulicy Długiej był szpital i tam przenoszono ciężko rannych. Do nas przyszli lekarze i sprawdzali nasz stan. Lekarz stwierdził, że mowy nie ma, żebym przeszła kanałem, że muszę zostać na Długiej. Doktor poszedł a „Świst” mówi: „Słuchaj, ty pamiętasz, co było na Woli?”. Mówię: „Właśnie pamiętam i o tym myślę”. On mówi: „Słuchaj, absolutnie nie zostawaj tutaj. Ja cię przeprowadzę”. On miał rękę przestrzeloną. Mówię: „No tak, z tą jedną ręką będziesz pomagał?”. Ale wszystko jedno. „Absolutnie nie zostawaj”. Posłuchałam „Śwista” i potem czekaliśmy na wejście do kanałów wiele godzin, chyba w nocy dopiero żeśmy weszli. To się tak wolniutko szło, na placu Krasińskich wlot był. Żeśmy doszli jakoś, ale „Świst” nie był ze mną, bo wpieryw mnie wpuścili, jeszcze kilku rannych i potem innych, tak że myśmy razem nie szli.. ale nieważne, cały czas myślałam o tym, jaki on był naprawdę troskliwy.

Pomogli mi zejść po klamrach, bo jeszcze byłam obolała bardzo, jednak mi rozcięli brzuch na dużej przestrzeni. Tak że pomalutku po tych klamrach zesłam, woda od razu i mi mówią tak: „Idź przed siebie tym kanałem – oczywiście kanał ciemny zupełnie – i tam spotkasz innych”. Wlazłam do tego kanału, idę i idę, woda raz wyżej, raz niżej, nikogo nie ma. Macam, macam, nagle czuję, że z tyłu ktoś za mną jest. Chwała Bogu, jest z tyłu. Jak tak szłam, to sobie myślę: „Boże drogi, ja nic nie widzę i w ogóle nie mogę dojść do nikogo. Nie ma nikogo przede mną”. W pewnym momencie czuję, że boczne ściany znikają. Myślę sobie: „No to ja ładnie poprowadzę teraz tych, jak jestem pierwsza, a oni za mną”. Nie wiem, dokąd mam pójść, tu nic nie ma, może być rozgałęzienie kanału. Zaczęłam macać u góry, wyczułam sufit, więc trzymając ręce na suficie, doszłam, wyrznęłam czołem o ścianę, bo to było wejście do niższego kanału. W tym kanale, jak już wpełzłam, ale trzeba było już iść zgiętym mocno, nagle trafiłam na kogoś przede mną, podał mi linę, puściliśmy ją dalej do tyłu. Już był spokój. Pomyślałam sobie: „Jestem mała, szłam zgięta, ale chłopcy wysocy, to w ogóle nos nad wodą”. To znaczy – wodą – nie zastanawiałam się, co w tej wodzie było. Ściany były obślizgłe, wszystko razem, włosy nabierały tego wszystkiego i szliśmy. Wreszcie doszliśmy, jakieś rozgałęzienie i światło. Harcerz siedzi ze świecą, więc ulga pewna, można było się wyprostować i znów maleńki kanał, nie wiem, czy to miało dziewięćdziesiąt centymetrów.

Kanałem szliśmy ponad trzy godziny i wyszliśmy na rogu Wareckiej i Nowego Światu. Wyciągali nas stamtąd. Jeszcze przed wejściem jeden z kolegów poprosił mnie, żebym wzięła na nogi jego oficerki, bo ma takie piękne oficerki. Swoje (to już nawet nie moje, bo cudze dostałam) jakieś pantofliny, w kieszenie panterki, a jego oficerki przeniosłam. Oczywiście w tych oficerkach miałam pełno wody, ale powylewało się. Jak wyszłam, to

on się zjawił, dałam mu to. Pamiętam, że przeszliśmy na Świętokrzyską, gołe nogi, noc, zimno, ale stanął koło mnie Zbichorski Zygmunt i mówi: „Włóż moje skarpetki, bo się przeziębisz”. To są takie drobiazgi, ale to się tak świetnie pamięta, właśnie serce czyjeś, troskę. Zaprowadzili nas do szpitala na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, do PKO.

**Jeszcze chciałam wrócić do Starówki. Jak chodziła ta komisja, kto się nadaje do kanału, a kto nie, to nie było jakiejś paniki wśród powstańców?**

Nie, nie reagowali zupełnie, taki rozkaz. Nie wiem, tak żeśmy podchodzili. Nie słyszałam, żeby ktoś protestował. Może tak po cichu jak „Świst” mówił: „Nie wygłupiaj się. Pamiętasz, co tam się działo?”. Ale tak to nie, jakoś zostawali. Inni potem do kanału wchodzili, jakoś to się odbywało dobrze. W szpitalu potem poleżałam. Przynieśli wodę, umyło się głowę, cały się człowiek umył, odetchnął, leżał w czystej pościeli, szyby były w oknach, a sanitariuszki, które nas wyciągały z kanału miały manikiur. Patrzyło się na nie: „Boże, przecież to jest inny świat zupełnie, jak oni tu żyją, skąd my wracamy”. Potem w szpitalu...

**Właśnie, pani mówiła o myciu. Słyszałam, że u „Zośki” był taki przesąd, że nie należy się całemu myć. Słyszała pani o tym przesądzie?**

Nie słyszałam, jakoś się myłam.

**Przesąd, że trzeba zawsze zostawić jedną część ciała niemytą.**

Tak? To nie wiem kto, bo myśmy na przykład z Beatą na Okopowej schodziłyśmy do podziemi i tam były prysznice. To była frajda się umyć od góry do dołu i włosy. Jakoś nie słyszałam tego przesądu. Może później był, może w początkach nie, a ja dość wcześniej byłam ranna. Żeśmy siedzieli w tym szpitalu na Świętokrzyskiej i wtedy poprosiłam o... A, jeszcze zupa pomidorowa była z ryżem pyszna, przynieśli nam. Myśmy ostatnie dni dostawali Cacao-Choix. Od Fukiera z magazynów zabrali alkohole lekkie i doktor kazał każdemu dać, bo myśmy nic nie jedli. Rzeczywiście takie Cacao-Choix pożywne, tyle że myśmy byli zalani po tym, bo człowiek leżał i mu było bardzo dobrze, ale coś się zjadło, wypilo. Tutaj ta zupa pyszna, w ogóle opieka wspaniała. Poprosiłam o łącznika, doktor powiedział, że mogę się poruszać, że chcę przejść na drugą stronę Alei Jerozolimskich, bo tam nasi byli, było dowództwo już. A poza tym chciałam dać znać matce, bo jak wyszłam rano wtedy z domu, to się z mamą nie widziałam, nie wiedziałam, co ona o nas wie. Właśnie mam wyjść, czekam na łącznika, łącznik przyszedł, a tu bombardowanie, brama zamknięta. Skończyło się bombardowanie, otwiera się brama, wchodzi „Słoń” z Wieskiem Tyczyńskim „Olgierdem”. Mówi: „Przyszedłem właśnie po ciebie”. Szukał mnie, dowiedział się, że tu jestem. Żeśmy właśnie poszli, już bez tego łącznika, przede wszystkim do domu. On wcześniej się porozumiał z „Bromem” i stwierdził, że jeżeli nie mogę brać udziału, to gdzie będę leżała, a mieszkaliśmy na Wilczej, to żebym była w piwnicy w naszym domu. Doktor mówi: „No pewnie”. Gdzie był szpital? Troszeczkę byłam, dzień tylko... u sióstr pod siódmym, na Wilczej, ale było tak zapchane. Mówię tym siostram, że mieszkam tutaj troszeczkę dalej, a ona mówi: „No to dziecko, to idź tam lepiej. Przecież tu nie ma miejsca zupełnie”. Jurek mnie przeprowadził do mamy. Oczywiście mama była przerażona, jak zobaczyła taką pokrakę zgietą w pół. Ale dostała wiadomość, mówiła, że przyszedł mały harcerzyk i powiedział: „A »Słoń-inka« jest ranna, ale lekko w brzuszku”. To była taka informacja dla mamy. Zostałam tutaj, a Jurek poszedł na

Powisłe. W międzyczasie był w domu, chłopcy u nas nocowali też, no i właśnie opowiedział nam tą całą historię, jak oni się przedarli między Niemcami. Potem jak do Kampinosu szli, to trafili na oddział węgierski. Ci Węgrzy się zorientowali, że to są powstańcy, wzięli ich między siebie, tak że ich osłonili i tak maszerowali. Poszli do Kampinosu, a w Kampinosie trafili już na nasze oddziały i namawiali ich, żeby już zostali, cała grupa. Troszkę się odżywili, ale nie, na Żoliborz przeszli, potem koniecznie kanałami i tutaj do nas. Dali wtedy znać tą notatką. Potem Jurek był już na Wilanowskiej. W międzyczasie weszli Rosjanie, właściwie berlingowcy jeszcze wcześniej. Byli na Wilanowskiej i kilku z nich szło, nie wiem, czy się zameldować do dowództwa, w każdym bądź razie któregoś dnia przyszło dwóch ubranych w skóry berlingowców, zresztą Polacy. Mieli adres nasz i prosili, że jak będą wracali, to wstąpią i jeżeli są skarpety ciepłe, jakieś ciepłe rzeczy, żeby dać dla chłopców, bo tam zimno się już zaczęło robić i oni to zaniosą.

Pierwszy raz berlingowców widziałam, świetnie uzbrojeni byli i skóry wspaniałe. Poszli i wracając, wstąpili, dałyśmy to wszystko. Stąd wiedziałyśmy, że Jurek jeszcze jest, żyje. „Książę” tak samo tam był. Bo „Książę” to był... byliśmy parą z Jędrkiem. Potem się dowiedziałam, że Jędrak zginął też, bo dopóki byli razem, to wszystko było dobrze. Potem jakoś rozłączyli się, on dostał rozkaz pójścia gdzieś dalej i niestety zginęli wszyscy. Też ciała Jędrka nie ma. O Jurku nic nie wiedziałam właściwie przez dłuższy czas, tylko jak się skończyło Powstanie... W ogóle nie wiedziałam z mamą co robić, nie wiedziałyśmy zupełnie – wychodzić, nie wychodzić. Chyba trzeciego, to już był październik, radziłyśmy się z sąsiadami różnymi: „No to wyjdźmy razem, zobaczymy, co będzie”. Oczywiście moją panterkę gdzieś zakopali, żebym szła jako cywil. Jak wyszłyśmy z Wilczej na Marszałkowską, nagle spotykam „Wikę”. „Wika” Całka to była właściwie... nie adiutant, ale była cały czas przy Jerzym, łączniczka jego. Spotkałam ją i wiem, że była razem z Jurkiem, więc zaczynam pytać: „Co? Jak? Co się stało?”. Ona mówi: „No właśnie nam się udało w parę osób przedrzeć z Jerzym”. „A co ze »Słoniem«?”. „»Słoń« zginął, bo nie przyszedł. Tu go nie ma”. Mówię: „Ale powiedz mi, zginął czy zginął?”. „No wiesz, nie mogę ci powiedzieć, bo nie przyszedł z nami tutaj”. Ale to już było wiadomo, że właściwie... To znaczy mamie nie mówiłam w ogóle. Mówię: „Słuchaj, ja nie wiem, co mam robić. Czy pójdę, zamelduję się do »Broma«, czy mam iść do obozu wojskowego? Jestem z matką, to nie chciałabym się z matką rozstawać, ona jest sama zupełnie”. I ona mówi: „Idź jako cywil z matką”. Nie wiedziałam, czy to jest dobra decyzja, ale poszłyśmy.

Do Pruszkowa nas zawieźli, rozłączono nas, mama miała zostać w kraju, a ja... Ale mama poprosiła Niemca, że: „Córka jest tam”. Puścił ją i przyszła do mnie. Wywieźli nas. Wozili nas dwa tygodnie po Niemczech. W końcu trafiłyśmy do Hildesheim koło Hanoweru. Tam też były bombardowania. Pracowałam w fabryce samolotów, mama też. Potem były straszne bombardowania, okropne, bo w nocy przylatywali Anglicy, w dzień bombardowali Amerykanie. 26 marca zrąbali to miasteczko piękne, średniowieczne. Spalili, fabrykę zbombardowali, już nie miałyśmy ani gdzie spać, ani co jeść, i tak żeśmy się włóczyły.

**Proszę opowiedzieć, jak pani wróciła do kraju i zaczęła szukać brata.**

Aha, skończyła się ta wojna niby. Myśmy z Polkami spotykały się i zaproponowały nam, że śpią w jakiejś cegielni, żebyśmy przyszły do nich. Rzeczywiście tam żeśmy spały w jakiejś cegielni, a w pobliżu pracowali Holendrzy, kolejarze, którzy przyjechali na roboty. Tacy starsi trochę ludzie i oni się nami po prostu zaopiekowali, pilnowali żeby nam nikt nie wlaźł, żeby nic się nie stało. Potem jedna z naszych znajomych z

naszego baraku dostała pracę w szpitalu. Też zaproponowała, że ma dwie Polki, więc mama do kuchni, ja miałam pójść sprzątać. Ale lekarz Niemiec już się bał, więc taki był uprzejmy, wsadził nas do kuchni, żebyśmy się trochę odżywiły. Potem sprzątałam sale, na nieszczęście wsadzili mnie do sali, gdzie byli chorzy na tyfus, i sobie zafundowałam tyfus, może na szczęście brzuszny. Przeżyłam w szpitalu długi czas, ale jakoś wyszłam z tego wszystkiego. Potem mieszkaliśmy z panią Zalewską, która nas ulokowała w tym szpitalu, w prywatnej willi. Po nią potem przyjechał mąż z Włoch, zabrał ją z córkami, a myśmy się przenieśli, bo już powstał polski ośrodek wojskowy dla żołnierzy i akowców w dawnych koszarach lotniczych w Hildesheim. Tam żeśmy dostały pokój, żeśmy się przenieśli. Z Powstania właściwie było bardzo mało [osób], dziewczyn w ogóle, tylko kilku chłopców. Rozmawiałam o tym i pytałam ciągle o mego brata, czy ktoś nie spotkał go w jakimś obozie. Jeden z tych chłopaków gdzieś wyjechał, po czym akurat na samo Boże Narodzenie przysłał mi list z wiadomością, że spotkał „zośkowców” i wie, że „Słoń” zginął właśnie przy przedzieraniu się do Śródmieścia tym rowem przy Wilanowskiej. Mojej mamie tego nie powiedziałam w ogóle. Tak żeśmy trwały w naszym ośrodku. Najpierw pracowałam w biurze, a potem jak już zrobili izbę chorych, to już pracowałam jako sanitariuszka. Najpierw był lekarz Niemiec, potem przemile małżeństwo estońskie, żeśmy się bardzo przyjaźnili i pracowałam na zmianę z nią jako sanitariuszka. W międzyczasie poznałam pana porucznika Konarskiego, akowca z „Miotły”, wyszłam za mąż. Potem on przyjechał tutaj z transportem Polaków, którzy wracali...

**Ale to już był 1945 rok? To było już po wojnie?**

Tak, to był już 1945 rok, bo 1946 roku wyszłam za mąż, już na początku października.

**Czy już pani też wiedziała, że pani sympatia nie żyje?**

Tak, to już się dowiedziałam przez chłopców, że Andrzej nie żyje. To tak jakoś było okropnie, że w ogóle tam wszyscy zginęli, cały ten oddział zginął. Podobno tylko jakoś się wyczołgała stamtąd sanitariuszka, już nie wiem która i ona powiedziała o tym, że ich Niemcy tak zlikwidowali wszystkich. Stąd nie ma w ogóle ciała Andrzeja. Tak to wszystko wyglądało.

Mój pierwszy mąż przyjechał tutaj, rozejrzał się co tutaj, jak tu jest w ogóle. To był 1946 rok i jak wrócił, musiał oczywiście to wszystko zrelacjonować naszemu dowódcy i wtedy ludzie stwierdzili, że chyba będą wracać do Polski. Bo Anglicy wywierali na nas presję, żeby wracać do kraju, bo oni nas nie będą żywić. Takie się warunki robiły nieprzyjemne dosyć. To samo robili z Estończykami, to myśmy ich wtedy żywili, ale Estończycy się jakoś nie poddali. W Wenezueli był jakiś misjonarz ich i on ich ściągnął, ale ich tak dużo nie było. Wreszcie stwierdziliśmy, że chyba wrócimy do kraju, trudno i w 1947 roku w lipcu przyjechaliśmy. Jak zobaczyłam po drodze w Szczecinie te oddziały rosyjskie w wagonach... To znaczy zobaczyłam to, potem wysiedliśmy w Szczecinie ze stateczku, do portu wyszliśmy. Deszcz leje, otoczyli nas drutami, ruscy nas pilnowali pod bronią. Cisza była absolutna i właściwie wszyscy się przyznali potem, że myśleli o jednym: „Jak by tu wrócić z powrotem?”. Przerazenie nas ogarnęło, jak żeśmy to zobaczyli. Dopiero jak się wjechało już do Polski, Poznań, dawne tereny, już nie widziało się tych wojsk rosyjskich, to jakoś żeśmy się pogodzili z tym, że wracamy. Jak zobaczyłam Warszawę taką zrąbaną strasznie, same ruiny jak się Alejami Jerozolimskimi jechało, okropne to wrażenie robiło. Właściwie cieszyłam się, że zamieszkaliśmy w Falenicy, w drewniaku najpierw mieszkaliśmy, po drugiej stronie

torów.

**Czy mieszkanie państwa zostało zburzone?**

Tak, zburzony był dom. Właściwie odbudować to by nie można było nawet tego, dlatego że naprzeciwko rąbnął pocisk i to wszystko było zmiecione, zniszczone. Tak że nie było mowy o tym. Teraz plomba jest wstawiona, nowy dom zupełnie, Wilcza 24, no i tyle. Ale mieszkają tam ludzie spoza Warszawy.

**Czy mama wiedziała już, że brat nie żyje?**

Mama nic nie wiedziała, cały czas nie wiedziała. Dopiero jak żeśmy już zamieszkały w Falenicy, to nawiązałam kontakt z „zośkowcami”. „Anoda” przyjeżdżał, w ogóle odwiedzali nas tutaj. Zresztą „Anoda” jest chrzestnym ojcem mojej córki... był. Właśnie oni mi powiedzieli i wtedy mamie to szczegółowo przekazałam, ale to było po kilku latach. Tak że mama jakoś to lepiej przyjęła. Potem jak zaczęli aresztować naszych chłopców w 1948 roku... Janek potem przecież zginął. Mama w końcu powiedziała: „Wiesz, tak sobie myślę, że chyba lepiej, że on zginął z bronią w ręku, niż gdyby dotrwał do tych czasów i by go tam mordowali”. Przecież oni byli w kopalniach, w więzieniach, okropne, straszne to było.

**Właśnie, pani знаła „Anodę”. Czy uważa pani, że on mógł popełnić samobójstwo, czy jego jednak zamordowali?**

Znałam „Anodę” dobrze, znałam jego mamę, rozmawiałyśmy i potem opowiadała mi o jego ekshumacji, o tym wszystkim. Właśnie co mi powiedziała? Że lekarz, przyjaciel, był razem z nimi w czasie ekshumacji i obejrzał ciało Janka. Nie było śladów takich, żeby on był czy połamany, czy coś, ale był otwór w głowie od kulki, więc oni go zastrzelili. Janek był tak radosny, Janek był dowcipny, Janek był... W ogóle nieraz żeśmy mówili, że „Jasio wariat”, bo jego roznosiła energia, więc nie przypuszczam, żeby on chciał popełnić samobójstwo. Chyba że liczył na to, że zeskoczy i się uratuje. Ale nie, Janek był przytomny, Janek sobie zdawał sprawę, z takiej wysokości skoczyć, to wiedział, że by się nie uratował. Tylko że oni go po prostu zastrzelili.

**Faktycznie miał ten opłatek w koszuli? Bo jego z Wigilii zabrali.**

Tak, mówiła pani Zofia, mama jego. Przyjeżdżała do nas po jego śmierci, ja na imieniny jeździłam do niej, do jej mamy, do pani Bortnowskiej jeszcze. Właśnie wspominała o tym opłatku, bo przecież go zabrali w Wigilię. Tylko Wojtkowi Szymanowskiemu się udało wtedy, że go pani Zofia kuchennymi schodami wypuściła, mówi: „Zwiewaj!”. Bo tamci weszli od frontu. Szkoda, Janka strasznie mi szkoda, bo to był naprawdę uroczy człowiek, szalenie zdolny, jak go profesorowie wspominali na uczelni przecież. Widziałam jego dyplomowe rysunki, to przecież pięć plus miał. Wspaniały chłopak był. A szalał! Boże, nie zapomnę jak u nas był, na Boże Narodzenie przyszli do nas, cała paka chłopców, dziewcząt i nagle Jasio zniknął gdzieś. Po pewnym czasie się pojawia w szlafroku mojej mamy, z lisem założonym i tańczy niby z kobietą. Więc oczywiście poza świetną, a równocześnie się dławi, tak jakby ta osoba miała jakieś piórko w kapeluszu i to go niby łaskocze. Taki mim wspaniały był z niego, że myśmy boki

zrywali. Potem oczywiście zaczął szaleć. Nożyki do owoców stały na bufecie, Jasio to wyciągnął i bawił się, że jest jakimś kowbojem i rzucał tymi nożykami. Po czym butami zajechał cały kredens, z boku smuga się zrobiła. Jak oni poszli potem do parku na spacer, to z Jędrkiem pastą do butów żeśmy to zacierali, żeby mam się nie gniewała bardzo na nas. A jeszcze jeden nożyk był złamany przy okazji. On po prostu szalał. Kiedyś byliśmy zaproszeni do „Fijoła”, to był Nawakowski. Bardzo przyjemny dom, też śliczne meble stylowe, wszystko pięknie, mama tak jak zwykle mamy, przygotowała jakieś wspaniałe przyjęcie. Nie wiem, co Jasia podkusiło, wszedł na stylową szafkę, na wierzch, mama wchodzi z kawą, a tu trzask, zapada się wierzch i Jasio wpada do środka i się trzyma na tym. Nas zatkało zupełnie, mama spojrzała, nic nie powiedziała, Jasia żeśmy wyciągnęli. Ale już nas nigdy nie zapraszała, tylko zapraszała nas... oni mieli willę w Świdrze, taki drewniak, było pusto, nic nie było. Na imieniny właśnie Stasia „Fijoła”, 8 maja tam żeśmy byli, bo Jasio już mógł szaleć i rozrabiać. On był taki zupełnie niewyżyty jakiś w tym wszystkim. Ale miał tyle uroku, przy tym bardzo inteligentny i bardzo zdolny, no szkoda, szkoda.

**Ale niech pani jeszcze coś opowie o swojej sympatii.**

O mojej sympatii, o Andrzeju. Andrzej chodził do Zamojskiego, był bardzo zdolny, zrobił maturę, mając chyba niecałe siedemnaście lat, bardzo wcześnie. Był synem profesora, mama była nauczycielką, mieszkali dwa domy dalej od nas, więc stale u nas siedział, myśmy też tam chodzili. Właściwie Jędrka poznałam... poszłam po jakieś gazetki do Jadzi Borkowskiej na Kruczą i tam zastałam Andrzeja. Potem jak już wychodziłam, to Andrzej mówi: „To ja ciebie odprowadzę”. Dobrze, no to wyszliśmy i zaczął do mnie mówić per dziewczynka. Zapytał się, ile mam lat, miałam siedemnaście. Tak żeśmy się poznali. On tu mieszka, ja tu, odprowadził mnie do domu. Potem przychodził do nas i jak były takie wieczorki, to całą noc się odbywały, przecież ósma godzina to policyjna godzina była. To żeśmy nieraz na całą noc się bawili, rodzice nam przygotowali coś do zjedzenia. Andrzej mnie jakoś bardzo adorował. Kiedyś jakieś gry były świetne, więc brałam w tym udział, to on mnie strasznie chwalił: „A, inteligentna dziewczynka”. Rosłam oczywiście, bo on był pięć lat ode mnie starszy, już był na medycynie, więc mnie to bardzo imponowało, a przy tym był taki... Oni wszyscy byli tacy młodzi, wygłupiali się, wariowali. Żeśmy się spotykali, chodziliśmy na spacerki razem.

Pamiętam, kiedyś po godzinie policyjnej w Wigilię nagle ktoś do nas dzwoni. Jurek otwiera drzwi, Andrzej. „Skąd tyś się wziął? Co ty robisz po ósmej godzinie?”. „Nic, przeleciałem tam”. No, o jeden dom dalej. Przyleciał, bo dostali jakąś paczkę z różnymi smakołykami, to Andrzejek oczywiście wziął to i przyleciał do nas. Siedział u nas, moja mama umierała znów ze strachu jak on pójdzie, co to będzie. Ale przyrzekł, że jak przyjdzie do domu, to zadzwoni. Jakoś szczęśliwie... Takie miał odruchy. Oczywiście jak to wśród naszych kolegów, zaraz nas nazywali Samson i Dalila, bo Samsonowicz, to Samson i Dalila. Zawsze nas łączyli w parę. Poza tym Andrzej mi się bardzo podobał. Jeździliśmy na jakieś wycieczki rowerowe razem, zawsze ja z Andrzejem. Taka sympatia właściwie była. Po wojnie nawet dostałam zdjęcia, które żeśmy sobie wymieniali. A pani Wachowicz dotarła i jeszcze moje zdjęcie dostała, które Andrzej miał przy sobie podobno. Nie wiem, kiedy i jak to było.

**Dlaczego on nosił taki pseudonim „Książę”?**

Bo to cała czwórka wygłupów z medycyny, to był Kazio Łodziński „Markiz”, Andrzej



„Książę”, potem był „Lord”, nie pamiętam jego nazwiska i jeszcze był jakiś „Hrabia”. Wszyscy byli na medycynie i się wygłupiali. Kiedyś doszli do wniosku, że sobie zrobią takie pseudonimy. Różne pseudonimy były, niektóre bardzo śmieszne.

**To nie dlatego, że miał jakieś maniery księcia?**

Nie, Andrzej był bardzo naturalny, z bardzo dobrej rodziny, bardzo kulturalni, przyjemni ludzie. Nie widziało się tego, żeby on jakieś maniery... Pani Wachowicz lubi troszeczkę... ona jest romantyczka, więc jak pisze, to trochę zmienia, fantazjuje. Widzę, jak o mnie pisze czy o moim bracie, to też dodaje trochę. Tutaj też tak właśnie, czytam, patrzę, co ona wymyśliła. Andrzej był naturalny zupełnie, nie miał jakichś... czasem się wygłupiali. Kazio Łodziński, to „Markiz”, też do mnie czasem przyjeżdża z żoną Staszka.

**Pani też nie znalazła ciała swojego brata?**

Nie ma. Właśnie pytałam kolegów: „Przecież były ekshumacje. Jak to się stało?”. Ktoś powiedział mi taką wersję, że tam było trochę aelowców i ci z Armii Ludowej podbierali ciała akowców i chowali na swoim terenie, nawet jako nieznanych, ale żeby pokazać, że ich było tak dużo. Nie wiem, czy to jest prawda. Powiedzieli, że prawdopodobnie Jurka ciało zostało tak zabrane i innych kolegów. Andrzeja nie ma, jego nie ma. Nie wiem, czy to jest możliwe. Inna rzecz, że jak zobaczyłam aelowców, w ogóle pierwszy raz się zetknęłam z tym właśnie na Mławskiej, to oni siedzieli w piwnicy, cała kupa młodych ludzi i sobie robili jakiś napoik mocniejszy, już nie pamiętam co i popijali, strasznie byli weseli. Ktoś powiedział: „To są właśnie z Armii Ludowej”. Nie wiem, tylko tam ich widziałam, poza tym ich nie widziałam.

**Pani właśnie mówiła, że „Słoń” miał farta, miał szczęście w życiu.**

Jurek miał szczęście i nawet jeszcze, jak właśnie wrócił po tej rajzie ze Starego Miasta, to nawet do mamy mówił: „Popatrz, jaką mam długą linię życia. Nie martw się o mnie, ja mam długą linię życia”. Naprawdę tak jak się patrzy, te wszystkie jego przygody w Kampinosie, przedarcie się tam, potem kanałami przeszli na Stare Miasto. Na Starym Mieście też byli u Jana Bożego, gdzie tłucli przecież Niemcy. Jakoś z tego wszystkiego wychodził szczęśliwie i tam też jakoś było. Nagle w ostatnim dosłownie momencie, kiedy już się wycofywali... To było tak, że on... to mi Leszczyc mówił, bo szedł za nim. Chociaż też kiedyś powiedział ksiądz Paweł, że szedł za nim, a dalej może Leszczyc. Leszczyc mówił: „Bo Jurek podniósł...”, nie karabin maszynowy... Jurek rzucił granat, ale to był rosyjski granat. Te granaty podobno strasznie rozświetlały, tak mi powiedział. W tym momencie jak rzucał w Niemców, to Niemiec z karabinu maszynowego go przeszył, bo go widział dokładnie i od razu padł. Tak to przykre, że nie ma jego ciała.

**Kamiński napisał, że on był taki „niezdarny, naiwny »Słoń«”.**

Słyszałam zupełnie coś innego teraz od kolegi, który robi wszystkie nasze pomniczki, też z tej samej klasy, Genio Guzek. Jest inżynierem budowlanym dlatego nam pomaga. „Słoń” był masywny, wysoki w porównaniu z chłopcami, którzy byli... mam zdjęcie z kolegą, to tamten jest filigranowy, cieniutki a „Słoń” jest masywny. Ale nie był gruby, był masywny bardzo, silnej budowy. Genek mówi: „Słuchaj, jak żeśmy szli gdzieś na zwiad jako harcerze, to ja nie mogłem za »Słoniem« nadążyć. On tak szybko się

poruszał, był bardzo zwinny”. Nie wiem, bo w domu widziałam go jak sobie siedział, coś dłubał, coś rysował. Poza tym jak był mały to się uczył, przychodziła pani Roischer, Niemka i uczyła go niemieckiego. Był dobry w niemieckim. Ja się uczyłam francuskiego później już, jak troszkę starsza byłam. Jedyny przedmiot, który Jurek nie bardzo lubił, to była łacina. Wiem, że przychodził pan Baranowski, student i z nim troszkę przerabiał te lekcje. Potem już było dobrze. Nie miał ani kłopotów w nauce, ani nic takiego. Poza tym, czy on był powolny? Jeździł na rowerze, grał w hokeja w szkole, w siatkówkę.

**Czyli mówienie o nim, że „niezdarny, naiwny »Słoń«” nie pasowało?**

Nie, jeszcze naiwny. On był może wierzący, tak jak młody człowiek to nie jest taki nieufny do ludzi. Raczej...

**To znaczy naiwny, że w każdym widział coś dobrego?**

Właśnie w tym sensie, że właśnie ludzie młodzi są pełni wiary w innych, nie podejrzewają. Może w tym sensie ktoś go tak określił, może. Każdy inaczej widzi. Powiedzmy, że ja jako siostra też nie wszystko widziałam, tylko to co w domu czy gdzieś na wakacjach jak żeśmy byli.

**U „zośkowców” było sporo Żydów, właśnie z wyzwolonej Gęsiówki, którzy dołączyli. Czy pamięta ich pani?**

Pamiętam, bo mi pomagali. Jak byłam na Okopowej, to żeśmy pomagały doktorowi przy zabiegach jakichś. Ale również na dole gotowano jedzenie dla chłopców, jak przyszli na miejsce. Trzeba było to jedzenie w kanach wielkich roznieść i to nieraz na pierwsze piętro czy na drugie piętro. Było szalenie ciężkie. Jak Żydów odbito z Gęsiówki, to oni byli w siódmym niebie, chcieli do wojska. Część z nich się włączyła chyba po prostu żeby walczyć, a część przydzielono do nas. Na przykład oni mi pomagali nosić te ciężkie kany. Nosili na górę, potem znosili naczynia wszystkie jak chłopcy zjedli, więc widziałam ich. Wybiedzone to było, wymęczone, a byli tak szczęśliwi, a mówili, że oni w ogóle nie wierzyli, że może ich coś takiego spotkać. Straszne to było.

**Ale oni byli tak samo traktowani jak i inni powstańcy?**

Tak. Właśnie się zastanawiam, co się z nimi stało po Powstaniu. Ale oni się chyba musieli gdzieś skryć, bo tak to by ich rozwalili od razu Niemcy. Może oni jako powstańcy włączeni, to może ich nie podejrzewali. Sama się zastanawiam nad tym.

**Większość z nich zginęła, a część przetrwała jako „warszawscy Robinsonowie”. Właśnie, ukrywali się.**

**Panią to właśnie koledzy nazwali „Słoń-inka” od brata?**

Od brata.

**Ale pani była zadowolona z tego pseudonimu, czy pani chciała inny?**

Śmieszny był. Chłopcy w ogóle uważali, że to jest tak świetny dowcip... Przecież

II-20

właściwie autorem tego jest chyba Tuwim w swoim „Panu Trąbalskim”, który miał córeczkę Słoninkę. Jankowi z tego się pewnie przypomniało i nazwał. Wszyscy „Słoninka”, ale dużo osób mówiło też Danusia po prostu. Tak że nigdy nie miałam, wprawdzie dzisiaj się spotykam z tym: „A dlaczego pani miała taki brzydki pseudonim?”. Jeszcze ktoś mnie spytał: „Pewnie pani była strasznie gruba?”. A ja mówię, że: „To nie od słoniny, tylko od słonia”. Poza tym Janek dla mnie był taki dowcipny i właściwie ten pseudonim jest mi bardzo bliski, dlatego że właśnie on wymyślił, nadał mi go. Tak wszyscy „Słoń-inka”, „Słoń-inka”. Zawsze łączyłam to ze „Słoniem”.

**Mam ostatnie pytanie na zakończenie. Kiedy wybuchło Powstanie, pani miała osiemnaście lat. Gdyby pani miała znowu osiemnaście lat, czy poszłaby pani do Powstania Warszawskiego?**

Na pewno, chyba wszyscy młodzi to samo by zrobili. Nie przypuszczam, żeby ktoś się wyłamywał. Pytano mnie kiedyś: „Czy to potrzebne to Powstanie?”. Na to powiedziałam, że przed samym Powstaniem stałam kiedyś na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, a Jerozolimskimi ciągnęły wozy z rannymi Niemcami, oni się wycofywali. Takie łachudry, gdzie ta buta niemiecka, to gdzieś przepadło. Obok mnie stali jacyś robotnicy i mówią: „Kiedy my ruszymy na nich?! Trzeba by ruszyć na nich!”. Tak sobie pomyślałam: „Nawet jak by nie było rozkazu, to ludność warszawska na pewno by poszła”. No a młodzież, myśmy byli szykowani przez tyle lat przecież. Myśmy wiedzieli, że to do walki jesteśmy przygotowywani.

**Warszawa , 15 Listopad 2007**  
**Rozmowę prowadziła Małgorzata Brama**

Ze strony

[http://www.old.1944.pl/index.php?a=site\\_archiwum&STEP=03&id=1261&page=5](http://www.old.1944.pl/index.php?a=site_archiwum&STEP=03&id=1261&page=5)

IV. Korespondencja:

- 28.V. 2012 - pismo od Danuty Umiastowskiej w sprawie przekazania relacji z losów: Msp. (kopia), podpis oryg. k. 1, s. 1.
- 20.06. 2012 - pismo Fundacji (Anny Hankiewicza - de 4 awtor-skiej) do D. Umiastowskiej: Msp. kopia, k. 1, s. 2.



10-1 Danuta Winiarska

W-wa

Warszawa dn28.v.2012

Fundacja "Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"

Dział Archiwum WSK

87100 Toruń

ul.Podmurna 93

W załączeniu przesyłam mój życiorys zawierający relację  
dot.mojej służby wojennej.

*D. Winiarska*

10-2

Toruń, dnia 20.06.2012 r.

**FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ**  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polek  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl  
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736  
KRS 00000 41692  
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Pani Danuta Winiarska

04-925 Warszawa

L. di. 1069 / WSK - kopie  
412/12.

Szanowna Pani,

Nasza Fundacja istnieje od ponad 22 lat i przez ten cały czas staramy się gromadzić, opracowywać dokumenty konspiratorów pomorskich i kobiet-żołnierzy. Mamy ponad 4 tys. teczek osobowych kobiet-żołnierzy ze wszystkich formacji z Kraju i spoza granic Rzeczypospolitej. Ciągłe jednak brakuje nam materiałów dokumentujących wojenną służbę wielu z tych wspaniałych dziewcząt, Pani wspomnień też nie mieliśmy, tym bardziej jesteśmy wdzięczni za przesłanie swojego wojennego życiorysu. Na podstawie przesłanego przez Panią życiorysu założyłam teczkę w naszym dziale Archiwum Wojennej Służby Kobiet na Pani panięskie nazwisko Gawin Danuta zam. Winiarska ps. „Słoń-inka” sygn. 4177/WSK.

Chciałabym uzupełnić Pani relację choć o kserokopie Pani legitymacji ws. nadania Srebrnego Krzyża Zasługi (1969r.), Krzyża Powstańczego (1969r. i 1982r.). Interesują nas też inne Pani odznaczenia honorowe, czy decyzje w sprawie awansu na stopnie wojskowe – kaprała, porucznika. Jeśli jest Pani w posiadaniu tych dokumentów bardzo proszę choć o ich kopie. Będziemy także wdzięczni za Pani zdjęcie – z lat okupacji, czy z późniejszego okresu.

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam także Pani wspomnienia zamieszczone na stronie internetowej Muzeum Powstania Warszawskiego. Tak barwnie, wręcz poetycko opowiada Pani o przedwojennej Warszawie. Czytając natomiast o trudnych latach okupacji cały czas myślałam o tych wspaniałych, świetnie wykształconych młodych ludziach, którzy swoje życie poświęcili Ojczyźnie. Oby dzisiejsza młodzież nie musiała tak trudnych wyborów dokonywać.

Serdecznie Panią pozdrawiam, przesyłam materiały na temat naszej działalności i informacje o założyciele naszej Fundacji gen. prof. Elżbiecie Zawackiej.

Będę też oczekiwać na materiały i zdjęcia od Pani.

z poważaniem i podziękowaniem

*Anna Lewandowska*

mgr Anna Wankiewicz-Lewandowska

dokumentalistka działu Archiwum WSK

J. 4177/WSK

Sz. Sz. U- wa  
Powst. 4252

GAJIN Danuta  
ul. Konarska (1946)  
ul. Winarska (1953)  
ps. "Słoń - inka"

(v) Nazwiskowe karty informacyjne: 1

J. 4177/WSK

Sz. Sz. 4-6a  
Powt. 4a/2.

GAWIN Danuta

i v. Komarowska (1946)

ii v. Hinczowska (1953)

ps. „Słoń-inka”

Ur. 11. marca 1926 4-6a  
c. Marcellego i Janiny 2 d. Kotelick.

B. Rojś 2014.





Fundacja "Archiwum  
i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz  
Wojennej Służby Polek"  
Dz. Archiwum WSK  
87-100 Toruń  
ul. Podmurza 93

Janina Winiarska  
Wrona-Falowiec



**GAWIN Danuta**

